NASZE DROGI

NUMER JUBILEUSZOWY,

poświęcony 10-leciu Polskiego Szkolnictwa Powszechnego.

RADOM
1928.

Bezpośrednią władzą organizacyjną Koła Powiatowego w Radomiu jest Zarząd Okręgu Warszawskiego, podległy z Kolei Zarządowi Głównemu Stowarzyszenia, którego siedzibą jest lokal przy ul. Senatorskiej l. 19 w Warszawie.

Tak się przedstawia pokrótce stan i działanie radomskiego Koła powiatowego. Z powyższego sprawozdania widać, że nie dokonaliśmy rzeczy wielkich, nie pozwolił nam na to zarówno krótki czas naszego istnienia, jak skromna liczba naszych członków.

Nie brak nam jednak zapału, twardo stoimy na gruncie naszych przekonań i patrzymy z otuchą w przyszłość.

B. BODALSKI.

Ze wspomnień emeryta - nauczyciela szkoły początkowej pod zaborem rosyjskim.

Mam za sobą lat 69 życia i 46 pracy nauczycielskiej; już trzeci rok jestem emerytem. Przeżyłem wiele chwil przykrych, mniej — radosnych. Dzisiaj, gdy wspominam minione czasy niewoli i ucisku, serce moje przepełnia się uczuciem szczęścia, że Bóg pozwolił nam znów zjednoczyć się w pracy dla wolnej Ojczyzny.

Wspomnienia moje dotyczą przeważnie szkolnictwa w zaborze rosyjskim za czas od powstania styczniowego do rewolucji w r. 1905. Streszczam w nich przeżycia swoje w związku z nauczaniem początkowem.

Rodzice moi mieszkali w miasteczku Kazimierzu nad Wisłą. W myśl zarządzeń Komisji Edukacyjnej oddawna istniała tu szkoła elementarna, która dzięki rutynowanym nauczycielom cieszyła się uznaniem ogółu i do której młodzież licznie uczęszczała. Wiem to z opowiadań dziadka i ojca. Po powstaniu styczniowem w ciągu paru lat pracowało w niej jeszcze dwóch przygodnych nauczycieli, którzy przeważnie rózgą napędzali dzieciom rozumu do głowy, a w końcu i tych zbrakło. Gdy doszedłem do wieku szkolnego, szkoła była nieczynna.

W szóstym roku życia umiałem już czytać po polsku. Nauczono mnie tego w domu sposobem sylabizowania. Z początku ogromnie mi się przykrzyła ta czynność, gdyż zupełnie nie rozumiałem czytanego, później zaś w miarę rozumienia sprawiało mi to zadowolenie. W chwilach wolnych od pracy ojciec nauczył mnie pisać, za pomocą podpisywania zeszytu swoją ręką

i dwóch pierwszych działań arytmetycznych, które wykonywałem mechanicznie, nie mając pojęcia o liczbach.

Pewnego wieczoru (miałem już lat dziewięć) ojciec rzekł do mnie: „Przysłano nam nauczyciela: jutro zabierzesz swe książki i zeszyty i udasz się do szkoły". Idąc, dygotałem ze strachu.

Pan nauczyciel, były burmistrz, kazał mi usiąść, podał mi jakąś grubą książkę łacińską, naznaczył na niej paznogciem coś ze cztery kartki i kazał się tego nauczyć. Następnie usiadł na katedrze, położył trzcinę obok siebie i, spojrzawszy znacząco na mnie i trzcinę, zaczął coś czytać. Ale wkrótce sen go zmorzył i zachrapał. Wtedy ja cichutko chyłkiem dostałem się do drzwi i w nogi. Na drugi dzień ojciec mi oznajmił, że szkoły już nie będzie, bo pan nauczyciel otrzymał nominację na sekretarza magistratu.

W braku nauczyciela dla mnie i dla syna poczthaltera przyjęto korepetytora. Był to młodzieniec pod wąsem, wydalony z czwartej klasy gimnazjum. Na pierwszą lekcję bez żadnych wstępnych objaśnień korepetytor zadał nam dwie kartki deklinacyj łacińskich. Czytać po łacinie jeszcze nie umieliśmy, jak również nie mieliśmy pojęcia o rzeczowniku i przypadkach. Repetycja: kolega mój poszedł na pierwszy ogień i... lekcji nie umiał. Korepetytor chwycił go za kark, położył na kolanie i linją zaczął mu wymierzać zamaszyste razy. Widząc to, skoczyłem w otwarte do ogrodu okno i wdrapałem się na sam wierzchołek ogromnej gruszy, z której nie zlazłem pomimo próśb i gróźb, aż wszyscy udali się na nocny spoczynek.

I znów nastały dla mnie dni zupełnej swobody i próżnowania. Rodzice gospodarstwa rolnego nie posiadali; ojciec cały dzień był zajęty w biurze, odległem o dwa kilometry od mieszkania. W owe czasy ogół mieszkańców miasteczka nie miał pojęcia o nauce, rozwijającej światopogląd. Zadawalniano się umiejętnością mechanizmu czytania i czterech działań arytmetycznych. Kto miał możność wykierowania się na urzędnika,

wstępował na praktykę do jakiegokolwiek biura i po kilku latach dochodził do celu.

Nareszcie przybył do miasteczka kwalifikowany nauczyciel, wychowaniec chyba rosyjskiego seminarjum nauczycielskiego w Chełmie i z jego przybyciem rozpoczęła się rusyfikacja szkoły. Nauczyciel, nazwiskiem Głowacz, były unita, ujawniający jeszcze ślady kultury polskiej, był człowiekiem wyrozumiałym dla dzieci. To też szkoła odrazu się napełniła. W stosunku do nauczyciela i na lekcjach zapanował język rosyjski, o którym dzieci pojęcia nie miały. Nauczyciel niewiele zadawał sobie trudu nad rozwojem umysłu dzieci, główną uwagę zwracał na płynne czytanie rosyjskie z zachowaniem akcentów.

Nauka arytmetyki polegała na wprawnym rachunku ustnym i piśmiennym oraz mechanizmie wykonywania czterech działań bez zastosowania w rozwiązywaniu odpowiednich zadań. Oprócz tego uczyliśmy się na pamięć wierszy polskich i rosyjskich. Raz przyszedł na lekcje religji miejscowy ks. proboszcz, ale gdy mu nauczyciel podał do użytku podręczniki w języku rosyjskim, więcej się nie pokazał, poczem wykład religji zupełnie został zaniechany. Z biegiem czasu nauczyciel wykonał próbę wprowadzenia wypisów polskich, drukowanych czcionkami rosyjskiemi, co jednak wywołało wielkie oburzenie rodziców i nie doszło do skutku. Pożytek ze szkoły wynosiliśmy niewielki, gdyż, nie rozumiejąc języka rosyjskiego, nie zwracaliśmy uwagi na objaśnienia nauczyciela, jednak uczęszczaliśmy do niej dosyć chętnie ze względu na wesołe życie towarzyskie. Jako kary stosowane były t. zw. „łapy" i koza.

W drugim roku swego pobytu w miasteczku nauczyciel umarł i znów na czas dłuższy życie w szkole zamarło. Trochę się ucząc pod kierunkiem ojca, trochę próżnując, doszedłem do lat piętnastu. Wtedy już ojciec zaczął poważnie myśleć o mojej przyszłości i umieścił mię w niedawno otwartem seminarjum nauczycielskiem w Solcu, które po czterech latach w roku 1878 ukończyłem z odznaczeniem.

Seminarjum nauczycielskie w Solcu była to szkoła średnia, z określonym programem, z odpowiedniemi siłami nauczycielskiemi i zasobna w pomoce naukowe. Celem szkoły było przysposobienie nauczycieli dla zamienionych polskich szkół początkowych na rosyjskie, których znów celem było rozpowszechnianie języka rosyjskiego w masach ludowych. Nawet naukę religji wykładano w języku rosyjskim, nauka zaś języka polskiego ograniczała się do tłumaczenia z polskiego na język rosyjski. W ciągu całego kursu seminarjalnego pisaliśmy raz dyktando polskie i raz wypracowanie stylistyczne, przedmiot specjalny, pedagogika i jej gałęzie były uzupełniane lekcjami praktycznemi z uprzedniem pisaniem konspektów. Przy seminarjum był internat dla uczniów zamiejscowych; była i czytelnia rosyjska.

Uczniowie często reagowali na wysiłki rusyfikatorów, gdyż w początkach istnienia seminarjum kandydatów na nauczycieli było mało, więc poniekąd oszczędzano tych, którzy się tam dostali. Szczególnie nauczyciel historji, Milatin, wysilał się na zohydzenie nam polskości i katolicyzmu. Raz podczas wykładów o ucisku religijnym, stosowanym przez Polskę na Ukrainie, zapytał ucznia kursu 1-go Tusiewicza: „Jaka, podług ciebie, religja jest najlepsza?“ — „Rzymsko-Katolicka“ odpowiedział.

Innym razem Milutin zaczął dowodzić, że Polacy nie mają pieśni historycznych. „Mają“! zawołał uczeń, Chruszczyński. „Jakie“? „Jeszcze Polska nie zginęła i zginąć nie musi...“ odpowiedział Chruszczyński.

Oburzenie Milutina nie miało granic. Ostatnie zajście zmusiło Milutina do pewnej ostrożności. Gdy się zanadto zaczął rozwodzić na temat powstań i niewdzięczności Polaków względem cara, naraz wśród ciszy rozlega się głos basowy: „Milczeć“! Milutin oniemiał. Przeprowadzone przy udziale inspektora śledztwo winnego nie wykryło.

Młodzieńcy, wstępujący do seminarjum, władali językiem, jakiego używali w domu i w szkole zakresu jego nierozszerzali. To też nic dziwnego, że gdy w towarzystwie polskiem podczas

burzy proszono ucznia kursu 2-go o wytłomaczenie zjawiska błyskawic i piorunów, ten w taki sposób rozpoczął swój wykład: „W przyrodzie znajduje się elektryczestwo dwojakiego rodu: położytielne (dodatnie) i atrycatielne (ujemne)“...

W roku 1876 podczas pożaru gmach seminarjalny padł ofiarą ognia, więc przeniesiono nas do seminarjum w Jędrzejowie. Tu z małemi zmianami było to samo, co w Solcu, tylko było nas więcej, bo dwa połączone seminarja. Wykład religji odbywał się w języku polskim.

Po ukończeniu seminarjum, t. j. od roku 1878 rozpoczynam drugi okres mego życia, okres nauczania innych. Pierwszą posadę nauczyciela otrzymałem w Zwoleniu. Było to miasteczko (osada) ludne: dziś tam pracuje kilkanaście sił nauczycielskich; dzieci do szkoły przyjmowało się bez ograniczenia czasu i liczby, to też pod zimę zebrało się ich w jednej izbie szkolnej około 180. Zaduch, wilgoć, błoto w dni słotne, chaos nie do opisania. Przytem byłem nauczycielem jeszcze niedoświadczonym w podobnych okolicznościach. W końcu podzieliłem dzieci na dwie zmiany: przedpołudniową i popołudniową, ale i to mnie ogromnie męczyło. Były chwile, że zniechęcony do ostateczności chciałem wprost uciec ze Zwolenia, nie zawiadamiając o tem władzy. Po trzech latach takiej pracy złożyłem podanie o przeniesienie dla wypoczynku na wieś, do Kaszowa. Tu rzeczywiście miałem wypoczynek nawet w stopniu niepożądanym. Pomimo osobistego chodzenia od chaty do chaty zebrało się około Nowego Roku w szkole 20 chłopców, z których jeden tylko umiał trochę czytać. Szkoła istniała od lat kilku. W tym czasie przyjechał na wizytację szkoły dyrektor Kopyłow. Spytał tylko jednego ucznia czytania rosyjskiego, rachunku ustnego, a w końcu Modlitwy Pańskiej po rosyjsku, czego uczeń nie umiał. Dyrektor zapytał mnie, czy religji uczę dzieci w języku rosyjskim, na co odpowiedziałem, że dzieci nie chcą odmawiać pacierza po rosyjsku. Pragnąc być w miarę możności pożytecznym, zorganizowałem w Kaszowie wieczorowe kursa dla dorosłej młodzieży wiejskiej. Zacząłem od nauki czytania i pi-

sania. Po paru lekcjach uczniowie (było ich sześciu), oznajmili mi: „My nie chcemy takiej nauki. Niech nas pan nauczy podpisywać się po rusku i obliczać podatki".

Poprzednik dyrektora Kopyłowa, Lebiedincew, kładł szczególny nacisk na śpiewanie w szkole pieśni rosyjskich. Opowiadano mi, że gdy raz, jadąc na wizytację szkół, usłyszał dzieci, spiewające za bydłem piosenkę rosyjską, śmiał się z zadowolenia, że rusyfikacja robi takie postępy.

Po roku wypoczynku na wsi, na skutek prośby mieszkańców Zwolenia do dyrektora, powróciłem na pierwszą moją posadę. Jednocześnie z moim powrotem w Zwoleniu została otwarta szkoła żeńska i było mi lżej.

W takich miastach, jak Zwoleń, Kozienice, Opatów i t. p. część dzieci uczęszczała do szkoły w ciągu całego roku szkolnego, co dawało nauczycielowi możność tworzenia stosunkowo licznego oddziału 3-go. W oddziale tym w szerszym zakresie wykładane były: gramatyka (etymologja i składnia), arytmetyka z rozwiązywaniem trudniejszych zadań złożonych, historja Rosji i przyrodoznawstwo. Od liczby uczniów tego oddziału i ich postępów w naukach zależała opinja dyrektora o nauczycielu.

Za dyrektora Dobrowolskiego, zajadłego rusyfikatora, wprowadzona była nawet w oddziałach niższych znajomość imion, nazwisk i tytułów cara, carowej, następcy tronu, ministra oświaty, kuratora okręgu naukowego i jego pomocnika, dyrektora dyrekcji naukowej i warszawskiego generał-gubernatora, a na pytanie: „gdzie mieszkasz"? uczeń bez namysłu obowiązany był odpowiedzieć: „Mieszkam w państwie rosyjskiem, w kraju nadwiślańskim i t. d. Jeżeli uczeń się pomylił i odpowiedział: „Mieszkam w Polsce", dyrektor wykrzykiwał: Polski niema i nie będzie!", i nauczyciel otrzymywał naganę.

Dzięki przypadkowi, po niewielkiej stosunko liczbie lat służby, zostałem awansowany na kierownika męskiej szkoły miejskiej w Staszowie (11 tysięcy mieszkańców). Przez Zwoleń przejeżdżał szef żandarmerji okręgu warszawskiego hrabia Kutaisow. W oczekiwaniu na przeprzęg koni pocztowych zaszedł

ze swoją świtą do szkoły w tym czasie czynnej. Uczniowie odpowiedzieli mu dobrze na wszystkie pytania, nie zawierające jednak żadnych tendencji politycznych. Wtem spojrzał na tablicę, a na tablicy była wypisana deklinacja polska z polskiemi nazwami liczb i przypadków, co było surowo wzbronione. „W jakim języku to napisane?" zapytał. — „W polskim śmiało odpowiedziałem: „przed chwilą była lekcja języka polskiego". Po tej wizycie spodziewałem się wielkiej nieprzyjemności. Aż tu po kilku dniach dyrektor przysyła mi na całym arkuszu podziękowanie od kuratora okręgu za wzorowy stan mojej szkoły osobiście zaświadczony przez hr. Kutaisowa. Wkrótce potem nastąpił awans.

W Staszowie przebyłem lat 11 (140 uczniów), następnie w Opatowie lat 7 (szkoła koedukacyjna, do 140 dzieci w dwóch salach szkolnych), a w roku 1902 ze względu na kształcenie dzieci przeniosłem się do Radomia. We wszystkich wymienionych miastach zapis odbywał się w jednym terminie, dzieci regularnie uczęszczały do szkoły i dlatego pod względem naukowym szkoły miejskie stały wyżej od wiejskich. Od czasu do czasu były one wizytowane przez dygnitarzy rosyjskich i gubernatora, kanclerza okręgu, a nawet generał-gubernatora i ministra oświaty. Rusyfikacja szkoły stopniowo się wzmagała. Już w szkołach, gdzie było dwie lub więcej sił nauczycielskich dawano jedną lub więcej sił narodowości rosyjskiej i wyznania prawosławnego. Dyrektor Stankiewicz na egzaminy wstępne do seminarjum soleckiego wiózł całą furę drabiniastą synów żandarmów, strażników i t. p.; jego staraniem była ufundowana cerkiew prawosławna przy tem seminarjum. Równolegle z rusyfikacją rosło wśród Polaków uświadomienie narodowe i poczucie niebezpieczeństwa, zagrażającego polskości. Niezadowolenie z tego stanu rzeczy ujawniło się w strejku szkolnym (rok 1905), którego szczegóły i następstwa są znane.

Już na parę lat przed wybuchem strajku szkolnego rozporządzenie o wykładaniu nauki religji w języku rosyjskim zostało cofnięte, nawet modlitwę przed nauką i po nauce wolno było

odmawiać po polsku. Wizytatorzy przedewszystkiem kładli nacisk na znajomość języka rosyjskiego, historji i geografji Rosji i arytmetyki; pytali niekiedy i z religji, np. co znaczy wyraz „monarsze" w modlitwie przed nauką. Od dobrej woli nauczyciela zależało rozszerzenie zakresu języka polskiego (2 godziny tygodniowo) i prostowanie pojęcia o Polsce przy wykładzie geografji i historji, co jednak należało czynić bardzo ostrożnie, gdyż nauczyciel Polak zawsze był pod dozorem wszelkiej policji. Żandarmi nawet na ulicy zaczepiali dzieci szkolne, przeglądając książki i zeszyty i wypytując o wykłady w szkole. Np., gdy w Radomiu w szkole rzemiosł wykładałem język polski (godzina tygodniowo w każdej klasie), pewnego dnia po lekcji dyktanda jeden z uczniów robił rozbiór gramatyczny po polsku. Wtem pocichutku wchodzi do klasy dyrektor Stankiewicz ze zwróconemi do ucznia słowami: „proszę w dalszym ciągu", siada w ławce. Po wysłuchaniu rozbioru, nie uczyniwszy mi żadnej uwagi, wyszedł. Na drugi dzień otrzymuję pismo urzędowe z nakazem wykładania języka polskiego w języku rosyjskim.

Jakie przykrości znosił nauczyciel i jak żył w ciągłej obawie utraty gorzkiego w te czasy kawałka chleba, niech to zobrazują niektóre następujące moje przeżycia.

W Zwoleniu: W niedzielę przyjechał do mnie w odwiedziny z Radomia nauczyciel szkoły miejskiej Grzybowski z nauczycielem gimnazjalnym Gackiewiczem i porucznikiem Kruzem (dwaj ostatni rosjanie). Było nam dosyć wesoło. Muzykalny porucznik zaczął wychwalać piękność melodji hymnu „Boże coś Polskę"... i zaśpiewaliśmy go chórem. Wynikiem było śledztwo, w którem porucznik wziął całą winę na siebie.

W Staszowie: W wigilję rocznego popisu szkolnego uczniowie podczas mojej nieobecności przystrajali izbę szkolną w wieńce i kwiaty. Jeden z uczniów odzywa się do kolegi: „Na portret cesarza uwijmy wieniec z róż", a ten mu odpowiada: „Wieniec z róż będzie na obraz Matki Boskiej, a dla tego „kacapa" dostatecznie wieńca z bzu". Słyszała to obecna córka żandarma, uczenica szkoły żeńskiej. W parę dni potem zjechał na śledztwo

z Sandomierza naczelnik żandarmerji: chwilowo głównie o to, czy ja byłem obecny, gdy miało miejsce to zajście. Następstwem śledztwa było usunięcie ucznia ze szkoły, a dla mnie otrzymanie od dyrektora najsurowszej nagany za niedoniesienie władzom o zajściu, a przy wizytacji szkoły zanotowanie w księdze rewizyjnej niedostatecznych postępów moich uczniów z historji Rosji.

To znów pewnego razu spotyka mnie na ulicy żandarm i oznajmia, że na parkanach widział napisy kredą: „Jeszcze Polska nie zginęła" i że to napewno czynią dzieci szkolne. Odpowiedziałem: „Nie tylko dzieci szkolne umieją pisać. Wreszcie niech pan wykryje winnych".

W Opatowie: Przychodzą do mnie uczniowie prawosławni ze skargą na ucznia oddziału 3-go, syna włościanina Kudasa, że nazwał cara Iwana Groźnego „sukinsynem". Przeprowadzam w szkole badanie. Uczniowie Polacy zmówili się i jednogłośnie oświadczyli, że Kudas nazwał cara „kozackim synem". Kudas zapytany, dlaczego go tak nazwał, tłomaczył się, że mu się zdawało, że Iwan Groźny był synem kozaka Jermaka, który zawojował Syberję. Po takim wyniku badania prawosławni uczniowie zupełnie byli przekonani, że się przesłyszeli.

Na roczny popis szkolny oprócz rodziców były zaproszone władze miejscowe. Każdy z obecnych mógł zadawać uczniom pytania w zakresie programu. Naczelnik powiatu Opatowskiego, Lapunow zapytuje po polsku ucznia oddziału 1-go z religji:

— Do jakiej narodowości należał Pan Jezus? Uczeń go nie zrozumiał.

— No, czy Pan Jezus był Niemcem, czy Francuzem?

— Pan Jezus był Polakiem, brzmiała odpowiedź.

— To rosjanie nie mają Pana Jezusa?

— Mają, ale ruskiego.

— A skąd ty wiesz, że rosjanie mają ruskiego Pana Jezusa?

— Bo widziałem, na obrazie było napisane po rusku „Isus Chrystos".

W ostatnim roku mego pobytu w Opatowie szkoła otrzymała 2-go nauczyciela w osobie Cytowicza, prawosławnego. Raz

Cytowicz z triumfem przynosi mi odebraną uczniowi oddziału 2-go historję polski w 24 obrazkach Anczyca i rzecze: „Bronisławie Michałowiczu, ładne książki czytują wasi uczniowie". Stropił się, gdy mu na pierwszej kartce książki pokazałem rosyjski napis: „Dozwoleno cenzuroju".

Stosowanie kary cielesnej w szkole i za panowania rosyjskiego było wzbronione, ale rodzice przeważnie na to reagowali. Gdy raz w Opatowie wezwałem ojca z powodu niesfornego zachowania się syna w szkole, ten nagadał mi impertynencyj, które zakończył słowami: „Jakiem prawem pan odrywa mnie od pracy, która rodzinie mojej daje utrzymanie. Oddałem panu w opiekę syna, więc niech pan robi z nim, co się panu podoba". Wydalenie ucznia ze szkoły było nieraz powodem wielkiego kłopotu dla nauczyciela i ze strony rodziców wydalonego i ze strony władzy szkolnej, która zwykle stawała po stronie rodziców.

Na naukę języka rosyjskiego, a szczególnie na prawidłowe akcentowanie wyrazów zużywał nauczyciel większą część swych sił i czasu. Z jakim trudem było połączone przyswojenie sobie przez dzieci akcentów rosyjskich, przekonał się o tem sam minister oświaty, Głazów, podczas wizytacji w r. 1903 radomskich szkół początkowych, zebranych w resursie obywatelskiej. Czytał po rosyjsku mój uczeń z oddziału I-go i doszedł do wyrazu „Zachar" (Zacharjusz); należało położyć akcent na zgłosce drugiej, a on uparcie kładł na pierwszej, co w brzmieniu zmieniało znaczenie wyrazu (Zachar — sachar oznacza cukier). Tu już i minister, i kurator okręgu, i dyrektor zaczęli go poprawiać, a on swoje. I w końcu nie dał się poprawić.

Szczęśliwa była jeszcze ta szkoła, w której nauczycielem był Polak. Ten przynajmniej nie paczył i nie zabijał w dziecku duszy polskiej. Rozumiały to władze rosyjskie i w ostatnich czasach zaczęły obsadzać posady nauczycielskie rosjanami. Czem był nauczyciel rosjanin w szkole, pokaże następujące zwierzenie psałomszczyka (kandydata na duchownego), radomskiej cerkwi prawosławnej, który sądził, że jestem rosjaninem: „Gdy pełniłem obowiązki nauczyciela w siedleckiem, otrzymałem od dyrektora rozporządzenie słowne, aby przy wykładzie języka polskiego, przekręcać i ośmieszać go tak, żeby dzieci obrzydziły sobie ten język"... Tu obecny nauczyciel, rosjanin, mrugnął na psałomszczyka i ten zaprzestał swych zwierzeń.

Teraźniejszy nauczyciel szkoły powszechnej powinien się czuć bardzo szczęśliwym, że pracuje dla wolnej Ojczyzny i w warunkach wielekroć dogodniejszych, niż pod panowaniem obcem.